



Magdalen
Nabb
Śmierć
Anglika

Tłumaczyła
Dorota Kozińska

Wydawnictwo Próby

Death of an Englishman

First published in 1981

Copyright © 1999 by Diogenes Verlag AG, Zürich

All rights reserved

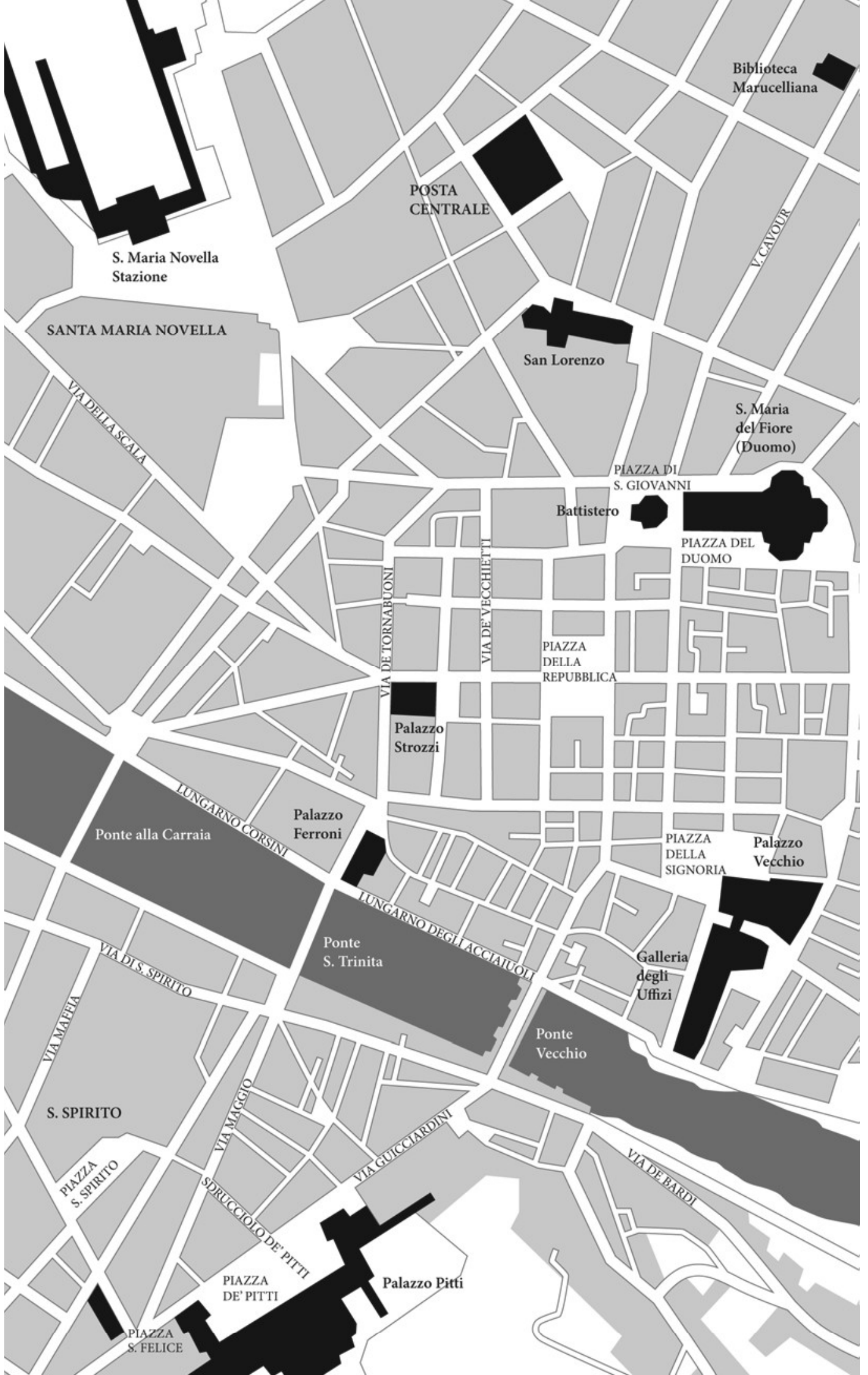
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Próby

Copyright © for the translation by Dorota Kozińska

Warszawa 2021

ISBN 978-83-960881-0-9

*Autorka pragnie podziękować
generałowi Nicolino D'Angelo –
za jak zwykle nieocenioną pomoc
w sprawach dotyczących karabinierów.*



Biblioteca Marucelliana

POSTA CENTRALE

S. Maria Novella Stazione

SANTA MARIA NOVELLA

San Lorenzo

S. Maria del Fiore (Duomo)

PIAZZA DI S. GIOVANNI

Battistero

PIAZZA DEL DUOMO

PIAZZA DELLA REPUBBLICA

Palazzo Strozzi

Palazzo Ferroni

Ponte alla Carraia

PIAZZA DELLA SIGNORIA

Palazzo Vecchio

Ponte S. Trinita

Galleria degli Uffizi

Ponte Vecchio

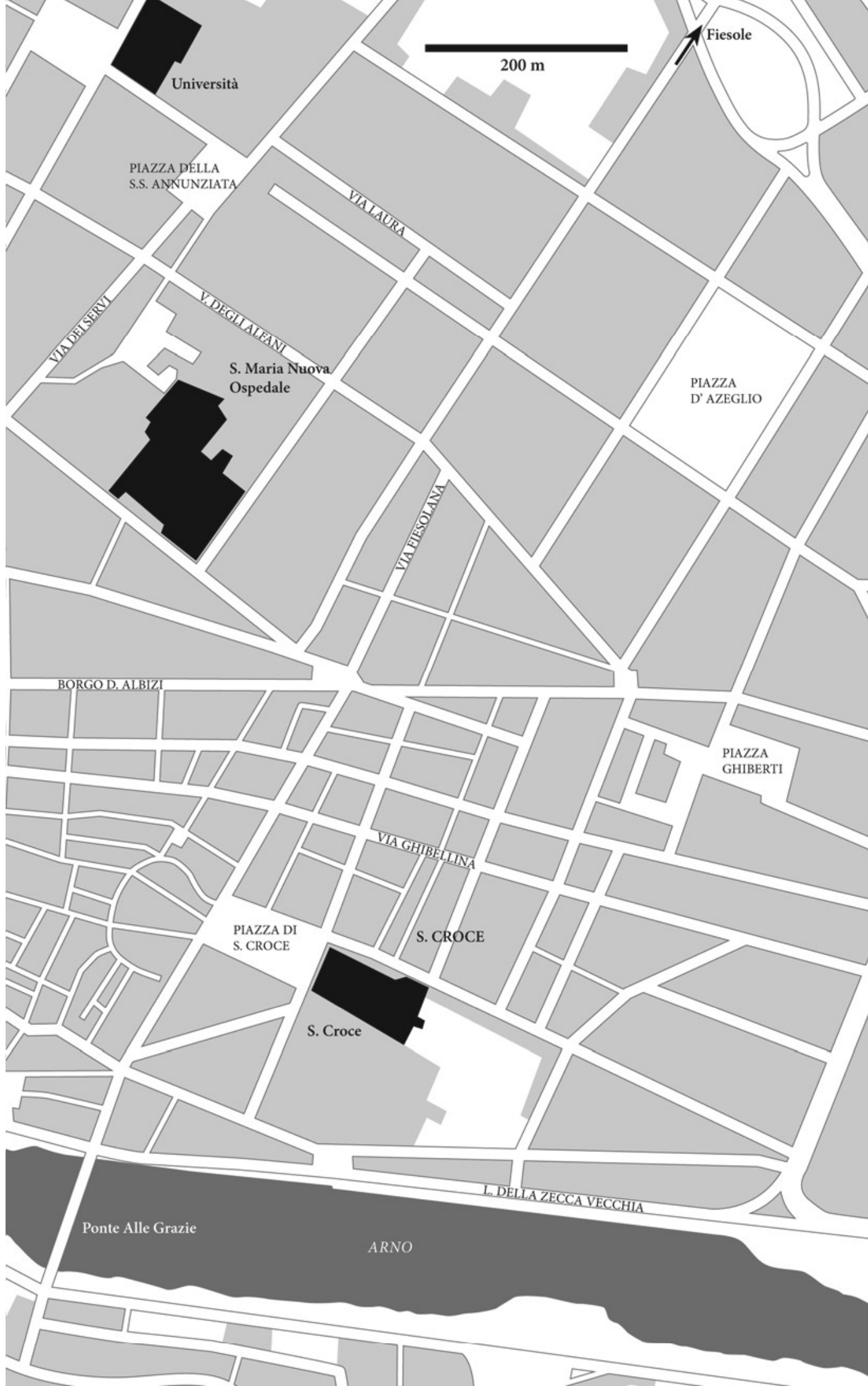
S. SPIRITO

PIAZZA S. SPIRITO

Palazzo Pitti

PIAZZA DE' PITTI

PIAZZA S. FELICE



Università

200 m

Fiesole

PIAZZA DELLA
S.S. ANNUNZIATA

VIA LAURA

VIA DEI SERVI

V. DEGLI ALFANI

S. Maria Nuova
Ospedale

PIAZZA
D' AZEGLIO

VIA FIORENTINA

BORGO D. ALBIZI

PIAZZA
GHIBERTI

VIA GIBELLINA

PIAZZA DI
S. CROCE

S. CROCE

S. Croce

L. DELLA ZECCA VECCHIA

Ponte Alle Grazie

ARNO

część
pierwsza

Dyżurka tonęła w mroku, jeśli nie liczyć czerwonej lampki na biurku przy telefonie i białych, skąpanych w różowej poświacie rękawiczek z koźlącej skóry, rzuconych na stertę papierzysk. Czarna marynarka od munduru wisiała na oparciu obrotowego krzesła, a dopasowany do niej schludnie zapięty płaszcz z czerwoną podszewką spoczywał na wieszaku za drzwiami, wraz ze starannie wyszczotkowanym kapeluszem. W pokoju starczyło akurat miejsca na ustawione wzdłuż białej ściany łóżko polowe, na którym, na tyle ostrożnie, by nie zagnieść czerwonych lampasów na nogawkach, spoczywał karabinier Bacci. Pełnił nocny dyżur. Na jego florenckim obliczu malował się niezmałowany spokój. Karabinier spał.

Był bardzo młody i spał twardo, z egzemplarzem *Codice di procedura penale* na piersi i podręcznikiem taktyki wojskowej na podłodze przy łóżku. Zamierzał czuwać i uczyć się całą noc, ale w ciszy przytulnej dyżurki i w ciepłe czerwonego światła przymknął brązowe oczy, wciąż jednak śniąc, że jest pogrążony w lekturze.

Podświetlony lampką telefon dzwonił głośno i uporczywie. Bacci zerwał się w półśnie na równe nogi i zasalutował, nim jeszcze zdążył stanąć na baczność.

Uświadomiwszy sobie, co jest źródłem dźwięku, natychmiast chwycił za słuchawkę, żeby dzwonek nie obudził sierżanta. Usłyszał w niej cichy, przejęty głos:

– Sierżancie Guarnaccia, panie sierżancie... proszę natychmiast tu przyjść, ten Anglik, on...

– Chwileczkę – Bacci wymacał w ciemnościach kontakt i chwycił za ołówek.

– Pan sierżant?

– Przy telefonie karabinier Bacci, nie sierżant Guarnaccia, kto mówi?

Na chwilę zapadła cisza, po czym głos oznajmił posłusznie:

– Cipolla, Gianpaolo Cipolla.

– Poproszę adres.

– Mój adres? – głos był tak słaby, że Bacci zaczął się zastanawiać, czy ma do czynienia z mężczyzną czy z chłopcem.

– Pański adres i adres, spod którego pan dzwoni, jeśli jest pan gdzie indziej.

– Mój adres to Via Romana osiemdziesiąt trzy, numer czerwony.

– A skąd pan dzwoni?

– Via Maggio pięćdziesiąt osiem.

– I tam popełniono przestępstwo?

– Tak, chodzi o tego Anglika... Nie zastałem przypadkiem sierżanta? Moja siostra jest jego sąsiadką, a szwagier pracuje jako ogrodnik u Bobolich, więc się znamy – i pan sierżant...

– Czy mógłbym pana spytać – Bacci przerwał mu z chłodną godnością płynącą z dwumiesięcznej praktyki na służbie – co pan właściwie robi w środku nocy na Via Maggio, skoro mieszka pan przy Via Romana?

Znow cisza. Głosik odezwał się po chwili:

– Ale... już jest rano... ja tu pracuję.

– Rozumiem. W porządku. Proszę się stamtąd nie ruszać, będę za pięć minut.

Bacci założył marynarkę i płaszcz, po czym starannie dopełnił strój kapeluszem i rękawiczkami z koźlęcej skóry. Wolałby wprawdzie umyć się i ogolić, ale sprawa mogła być pilna... zawahał się, spojrzął na drzwi do kwatery sierżanta, po czym znów zerknął na drzwi, gdzie przedtem wisiał jego płaszcz, a teraz było widać berettę dziewiątkę, zatkniętą w białą skórzaną kaburę z paskiem. Sierżant pocił się w łóżku złożony grypą, dlatego karabinier Bacci uparł się nocować w dyżurce, zamiast pójść spać na górę – zdaniem sierżanta całkiem niepotrzebnie – ale Bacci zawsze miał opinię „wzorowego ucznia”. Spokojnym ruchem zdjął broń, sprawdził ją i zamocował, nie spuszczając wzroku z drzwi do pokoju. Może powinien obudzić sierżanta albo zadzwonić na Borgo Ognissanti, na wypadek gdyby potrzebował posiłków... gdyby jednak porozumiał się z komendą, na pewno kazaliby mu zostać na posterunku i wysłali jakiegoś oficera... Bacci nigdy w życiu nie był na miejscu zbrodni... a jednak... cicho stukał o blat palcami w rękawiczkach. Sierżant powiedział, że jeśli wydarzy się coś ważnego... oczywiście nic takiego nie musiało się stać – nic się nigdy nie wydarzyło na posterunku Pitti...

Karabinier Bacci nie lubił sierżanta. Po pierwsze dlatego, że sierżant był Sycylijczykiem i Bacci podejrzewał, że jeśli nawet nie reprezentuje mafii, to i tak jest *mafioso*; poza tym wiedział, że sierżant zdaje sobie sprawę z jego podejrzeń i jeszcze je podsycy. Zupełnie jakby go to bawiło. Po drugie, Bacci nie lubił sierżanta, bo był za duży, za gruby i miał zawstydzającą dolegliwość oczu – zawstydzającą karabiniera Bacci – mianowicie w pełnym świetle dnia zalewał się łzami, a ponieważ

ciągle ubolewał nad nieobecnością żony i dzieci zostawionych w Syrakuzach, toczące się po policzkach łzy sprawiały bolesne wrażenie prawdziwych – bolesne dla karabiniera Bacci. Sam sierżant ze stoickim spokojem sięgał po ciemne okulary, które zawsze miał w którejś z przepastnych kieszeni, po czym oznajmiał wszem wobec: „Nic takiego, zwykła przypadłość. Wszystko przez to słońce”.

Bacci postanowił nie budzić sierżanta. Do Via Maggio miał dosłownie dwa kroki. Mógł obrócić tam i z powrotem w dziesięć minut i w razie czego obudzić go później. Wyszedł na zewnątrz i zamknął dyżurkę na klucz.

Ten, kto dzwonił, miał rację – właśnie zaczęło świtać. Wilgotny, niemrawy grudniowy poranek. Gęsta żółta mgła wstała znad rzeki i wsączyła się w wąskie zaułki, tłumiąc odgłosy kroków karabiniera, kiedy wyłonił się z mroku sklepionego kamiennego korytarza i przemaszerował przez pochyły dziedziniec pałacu Pittich. Kilka widmowych samochodów, pozostawionych tutaj na całą noc, pokrywał osad z kropelek wilgoci. Bacci przeszedł na drugą stronę pogrążonego w ciszy placu i przeciął aleję w poprzek wysokich zabudowań dzielących Piazza de' Pitti od Via Maggio. Trząśnięcie zimna pod ciężkim płaszczem, w pełni świadom, że miasto wciąż śpi za zamkniętymi okiennicami. Latarnie były jeszcze zapalone, ale wąskie przejście było oświetlone tylko dwiema rozstawionymi na przeciwnych krańcach żeliwnymi lampami, Bacci musiał więc stąpać ostrożnie, klucząc wśród skuterów, jak zwykle zaparkowanych nieprzepisowo, z nosem dyskretnie uniesionym ponad zasięg wyziewów z kanalizacji, wiszących w porannej mgle aż do godziny szczytu, kiedy ustępowały miejsca spalinom. W najciemniejszym

odcinku w połowie alei potknął się o puszkę coca-coli, która potoczyła się po nierównym bruku z denerwującym hurgotem. Dotarłszy do Via Maggio, przystanął, nie wiedząc, którędy pójść dalej. Po prawej rozpościerał się rząd wyniosłych renesansowych pałaców, ciągnący się aż do rzeki i niewidzialnego we mgle mostu Santa Trinita; po lewej krótszy odcinek ulicy prowadził do niewielkiego trójkątnego placu, gdzie łączył się z zaułkiem odchodzącym od pałacu Pittich. Przyjrząwszy się uważnie czerwonej i czarnej numeracji, Bacci skrzywił w lewo w stronę placu, mijając kolejno... numer 52... czerwony numer 106... czerwony numer 108... stare, wyblakłe czerwone numery ledwie było widać w siwym półmroku, tymczasem wielkie czarne cyfry rysowały się wyraźnie na tle białych tabliczek, a on przecież szukał czarnego numeru... 54... czerwony numer 110... 56... 58. Na wysokości pierwszego piętra majaczył nierozpoznawalny herb wykuty w kamieniu. Pod nim widniały potężne wrota z żelaznymi okuciami; okiennice na trzech górnych piętrach były zamknięte. Nawet odrobina światła nie wskazywała, z którego piętra ktoś dzwonił, a karabinier właśnie zdał sobie sprawę, że zapomniał spytać o nazwisko Anglika. Na parterze budynku mieścił się jakiś bank i ukryty za metalową żaluzją sklep, usadowiony na końcu Via Maggio i wychodzący na niewielki plac. Dopiero na widok sklepu przypomniał sobie – Anglik – gdzieś o tym czytał... „Naród sklepikarzy”... delikatnie przesunął palcem w białej rękawiczce po wypolerowanych mosiężnych przyciskach dzwonek, przepatrując nazwiska z listy lokatorów... Frediani... Cipriani... Cesarini... nie... A. Langley-Smythe, na prawo od bramy, pierwsza kondygnacja – ale to raczej *mezzanino* niż parter? Pusta tabliczka przy dzwonku po przeciwnej stronie,

czyli tam musi być portiernia. Na ostatnim piętrze po lewej kolejne angielskie nazwisko: Panna E. White, w nawiasie Landor. Tylko że ten, który dzwonił, na pewno mówił o mężczyźnie. Bacci nacisnął dzwonek na parterze. Nikt się nie odezwał. Zadzwoił jeszcze raz, zbliżając ucho do głośnika. Nic. Może to był dowcip... albo nawet zasadzka, często tak bywa... słyszał już historie... zaczął się trochę niepokoić. Pewnie jakiś Sycylijczyk, który miał na pieńku z sierżantem... a może terroryści? „Nic się nigdy nie dzieje na posterunku Pitti”, powtarzał sobie po cichu, aż usłyszał czyjeś kroki. Rozległy się tuż obok, ale nie mogły dobiegać z wnętrza budynku, żaden dźwięk nie przebiłby się przez te drzwi. Odgłos ciężkich, powolnych kroków niósł się zza rogu sklepu. Z mgły wyłoniła się ciemna postać; stróż nocny właśnie kończył obchód.

– Proszę mi otworzyć – zażądał Bacci, gdy stróż podszedł bliżej. – Coś tam jest nie w porządku.

– Kiedy przechodziłem ostatni raz, było jak należy – odparł stróż flegmatycznie, zsuwając czapkę na tył głowy. Uniósł w rękę dzwoniący pęk kluczy, wybrał właściwy, odblokował skrzydło drzwi wejściowych, napał na nie ramieniem i odrobinę uchylił. Wrzucił do środka biały kwitek z potwierdzeniem dokonanego obchodu, po czym się wycofał. Jego krótkofalówka obudziła się z kaszlem, gwizdnęła i równie raptownie zamilkła.

– To wszystko, co pan zrobił na ostatnim obchodzie? – spytał surowo Bacci.

– Nie. Wjechałem windą na górę i sprawdziłem drzwi po kolei. Wejdzie pan do środka, to znajdzie kwity za każdą framugą. Skoro i tak pan tu jest, to już pana z tym zostawię.

– Niech pan zajrzy następnym razem... Może będę musiał coś panu przekazać...

Karabinier znów pożałował, że nie zdążył się ogolić. Czuł się mniej pewnie niż tuż po wyjściu z posterunku.

– Idę do domu – oznajmił stróż. – Skończyłem obchód. Strażnik bankowy będzie o ósmej.

Ruszył przed siebie nieśpiesznie, wybrał z pęku inny klucz i zniknął w następnej bramie. No cóż, ten strażnik, jak już przyjdzie, na pewno okaże się byłym karabinierem i będzie chętniejszy do pomocy. Bacci tak długo napierał łokciem na dębowe, okute żelazem drzwi, aż zdołał się wśliznąć do środka.

Szeroki, wyłożony kamieniem korytarz, słabo podświetlony nocnym światłem, kończył się parą wysokich drewnianych wrót wjazdowych, które prowadziły zapewne na wewnętrzny dziedziniec budowli. Bacci wymacał kontakt i zapalił odrobinę jaśniejszą żarówkę w zawieszanej nad bramą latarni z kutego żeliwa. Po prawej wypatrzył wejście służbowe do banku, po lewej nieużywaną portiernię z zabitym deskami okienkiem dla interesantów. Idąc powolnym, dudniącym krokiem po kamiennej posadzce, dotarł do zamkniętych wrót i skręcił w lewo, w mniejszy korytarz z szeroką kamienną klatką schodową na wyższe piętra. Na dole schodów, po lewej stronie, wisiały skrzynki pocztowe mieszkańców; po prawej była lampka oraz drzwi, które wyglądały, jakby prowadziły do jakiegoś magazynu. Spod framugi sączył się strumień żółtego światła. Przy dzwonku widniało nazwisko A. Langley-Smythe. Głośne kroki karabiniera ucichły. Bacci delikatnie popchnął drzwi palcem w rękawiczce. Otwarły się na oścież. Na zagraconym, pokrytym kurzem biurku paliła się lampa z pergaminowym abażurem. Poza tym wnętrze tonęło w mroku, nie od razu więc zobaczył Langleya-Smythe'a. Ujrzał za to wątłego mężczyznę o twarzy szarej jak popiół, z szopą sterczących włosów, ubranego

w czarny, bawełniany kombinezon. Siedział na krześle przy lampie, nieruchomo jak strażnik.

– To czegoś, u diabła, mnie nie obudził? O, czyżby? No to źle myślałeś – co ty sobie wyobrażasz? Bacci, ja osobiście... Dotykałeś czegoś? Na miłość boską, niczego nie dotykaj! Kto? Co on tam robi... Chwileczkę, muszę sięgnąć po... apsik! On nie wygląda, jakby był w szoku, on jest w szoku. Jego żona leży w agonii, może nawet umarła tej nocy; siostra mieszka tuż obok, przy Via Romana, co on robi – słuchaj, zatrzymaj go tam, aż przyjdę, najpierw muszę się dodzwonić na Borgo Ognissanti – i niczego nie dotykaj... O Boże...

Zadzwoił na komendę.

Sierżant Guarnaccia z mozołem wbił się w mundur, kichając prawie bez przerwy. Czuł mdłości i zawroty głowy, płonął z gorączki i wszystko go bolało. Znalazł w łazience aspirynę, zażył z pół tuzina tabletek i popił je czterema szklankami wody mineralnej, ale gardło wciąż miał tak samo wyschnięte i rozpalone jak przedtem. Jutro powinien wrócić do domu na Boże Narodzenie; nie mógł przecież się rozchorować i spędzić samotnie święta w łóżku we Florencji, kiedy każdy normalny Sycylijczyk w tym mieście przepychał się do któregoś z zatłoczonych pociągów na południe, obładowany wielkimi pakami, targając powiązane sznurkiem walizki. Znów kichnął potężnie i wyszedł przez bramę, oszołomiony wilgotnym powiewem chłodu na rozgorączkowanej twarzy. Wodniste słońce właśnie się przebijało przez poranną mgłę i sierżant Guarnaccia zaczął płakać. Sięgnął z westchnieniem do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej parę ciemnych okularów.

Zanim dotarł na miejsce, w mieszkaniu Anglika zrobił się ruch jak na stacji kolejowej. Wewnątrz tłoczyło się kilkanaście osób; dwaj pomocnicy z Zakładu

Medycyny Sądowej sterczeli w bramie, tocząc zawzięty spór z trzymającym straż brygadierem.

– Dla mnie to niejadalne i koniec dyskusji...

– Oliwa musi mieć odpowiednią temperaturę, w tym cała rzecz, gdybyś próbował smażyć sposobem mojej matki...

– Moim zdaniem dobry befsztyk...

Sierżant skinął im głową na powitanie i precyzyjnie przeszedł dalej.

– Jezus Maria, Józefie święty – powiedział cicho, kiedy był już w środku.

Nie patrzył na ciało Langleya-Smythe'a, którego i tak nie było widać zza dwóch fotografów, zastępcy prokuratora i lekarza – profesora Forlego z Zakładu Medycyny Sądowej. Patrzył przez okno na żałośnie niepozornego zamiatacza, który krzątał się po dziedzińcu w przykrótkim czarnym kombinezonie. Kilka lat temu w grubą murowaną ścianę wmontowano duże francuskie okno; widoczny przez szybę zamiatacz zbierał jakieś śmieci z omszałych kamiennych płyt wokół ogromnych donic z terakoty i wkładał je do plastikowego worka. Jego twarz miała zielonkawy odcień.

– Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć, gdyby tu dłużej posiedział – wyjaśnił Bacci, sam bliski omdlenia od samotnego przebywania w towarzystwie trupa. – Podobno sprząta dziedziniec raz w miesiącu; co tydzień myje schody i korytarz wejściowy. Pomyślałem sobie, że skoro i tak musi poczekać, to niech się na chwilę odpręży... sam pan mówił, że jego żona jest chora...

– Ona nie żyje – mruknął sierżant, wpatrując się wielkimi oczami w skuloną postać na zewnątrz. Po drodze wpadł na chwilę do sąsiadów. Otworzył mu ogrodnik; miał zaczerwienione oczy i jednodniowy

zarost. Szykował dzieciakom śniadanie, bo żona wciąż jeszcze była na Via Romana.

Zebrani wokół zwłok zaczęli się powoli rozchodzić. Prowadzący śledztwo kapitan z komendy wyszedł z sypialni, gdzie pracowali jego technicy, i obrzucił zastępcę prokuratora spojrzeniem spod uniesionych brwi. Ten odwzajemnił się, zwracając oczy ku niebu. Komentarz był niepotrzebny. Że coś takiego musiało się wydarzyć tuż przed świętami...

– I żadnych szans, że to było samobójstwo – westchnął zastępca prokuratora.

– Raczej nie. Strzał w plecy, nie znaleziono broni.

– No cóż, zróbcie, co się da...

Zróbcie, co się da, żeby wyjaśnić sprawę przed Bożym Narodzeniem. Zastępca prokuratora wymienił uścisk dłoni z kapitanem i profesorem Forlim, który zbierał się już do wyjścia i zatrzasnął torbę. Sierżant odwrócił się i spojrzał na niego z nadzieją:

– Myśli pan, że...

– Nic nie myślę – odparł lekarz odruchowo. – Okaze się dopiero po sekcji – chyba że sam pan zwróci na coś uwagę. A i tak wiele będzie zależało od tego, kiedy zjadł ostatni posiłek... Miejmy nadzieję, że stołował się w restauracji – całkiem prawdopodobne, najwyraźniej był kawalerem.

Lekarz, elegancki siwowłosy mężczyzna, rozejrzał się po nędznym wnętrzu z wyraźnym niesmakiem.

– Szczerze mówiąc – skromnie przyznał sierżant – trochę to wykracza poza mój zakres obowiązków. – Po czym opadł ciężko na stary, zakurzony fotel i otarł pot z czoła.

– Miałem właśnie spytać, czy mógłby mi pan coś przepisać na gorączkę.

– Grypa?

- Tak sędzę.
- Wziął pan coś?
- Tylko aspirynę.

Lekarz zmierzył mu puls.

- Powinien pan być w łóżku.

– Wiem. – Sierżant mimowolnie rzucił okiem na Bacciego, który stał przy oknie, przestępując z nogi na nogę w wyglansowanych butach i nerwowo uderzając po udach rękawiczkami z koźlęcej skóry.

- Rozumiem – lekarz spojrział w tę samą stronę.

– Mam brygadiera na chorobowym, a drugi z moich chłopaków jest właśnie w drodze do domu.

Wszędzie tak było w okresie świątecznym: nieuchronny pęd na południe, równie uporczywy i nieubłagany jak przepływ piasku w klepsydrze do jajek, dziesiątkujący personel muzeów, szpitali, banków i posterunków policji.

– Jedziemy na tym samym wózku – zapewnił współczująco lekarz. – Przepiszę panu antybiotyki – ale uprzedzam, lepiej się nie przemęczać. Niech pan się wyręczy chłopakiem, a śledztwo zostawi kapitanowi.

– Spokojna głowa. U Pittich zajmujemy się co najwyżej kradzieżą torebek; kapitan nie będzie mnie potrzebował. Muszę tylko dopilnować tego gołowąsa. Im szybciej wróci do szkoły oficerskiej, tym lepiej. Mam wrażenie, że z każdym rokiem przysyłają mi coraz młodszych. Chyba się starzeję.

– W każdym razie niech pan spróbuje trochę odpocząć i pić dużo płynów.

Obaj w tej samej chwili zwrócili uwagę na opróżnioną niemal do dna butelkę whisky przy lampie z pergaminowym abażurem.

- Byle nie takich.
- Do ust bym tego nie wziął.

Sierżant codziennie wypijał wieczorem pół litra czerwonego wina do posiłku, ni mniej, ni więcej – a w niedzielę jeszcze odrobinę vin santo.

– Skoro już o tym mowa, wina też nie – doktor, przepisując lekarstwo, czytał w myślach sierżanta. Wręczył mu receptę i poklepał po potężnym ramieniu.

– Pan się trzyma!

– Kapitanie...? – jeden z techników przycupnął w rogu pokoju, wpatrując się w jakiś przedmiot. Kapitan podszedł zobaczyć. Popiersie anioła z biało-niebieskiej majoliki. Technik ostrożnie strzepnął kurz z figurki, odsłaniając owinięty wokół szyi kawałek sznurka.

– O nie... – szepnął kapitan. Struchlał na myśl o czekających go komplikacjach.

– Niestety tak, kapitanie... – technik pociągnął za sznurek i odsłonił plombę z ołowiu.

Kapitan wstał.

– Przyślijcie tu kogoś od Pittich, dobra? Najlepiej doktora Biondiniego, kierownika Galleria Palatina, powinien już tam być. Pewnie od razu wam coś powie, a jeśli nie, zadzwońcie do mnie, jak tylko się czegoś dowiedzie...

Kiedy kapitan wrócił do sypialni, Bacci podszedł do kucającego technika i spytał bojaźliwie:

– Co się stało?

Popatrzył na małą ołowianą plombę.

– Co to znaczy?

– Kłopoty – odparł technik. – Rzym... – jakby obydwaj te słowa były równoważne. – Możecie mi tu poświecić? Zejdź mi z drogi, chłopcze, bardzo cię proszę...

– Możemy już go wynieść? – pomocnicy czekali od półtorej godziny. Posadzka przed mieszkaniem była usiana niedopałkami, rozmowa przestała się kleić.